

Amerykanie o roli Niemiec na arenie międzynarodowej

Mija właśnie 50 lat od pamiętnej mowy Johna F. Kennedy'ego, wygłoszonej w Berlinie Zachodnim, nieopodal Bramy Brandenburskiej, w której padły słowa: „Ich bin ein Berliner”. Przez wiele lat odwoływano się zarówno do tych słów, jak i do całej ówczesnej wizyty amerykańskiego prezydenta, jako symbolu wyjątkowych relacji Stanów Zjednoczonych z Republiką Federalną Niemiec, w których Ameryka pełniła rolę patrona i gwaranta, a Niemcy lojalnego i oddanego sojusznika. Podobnie zresztą jak symboliczne lub nawet profetyczne znaczenie miało zawołanie spod Bramy Brandenburskiej innego amerykańskiego prezydenta – Ronalda Reagana, kierowane w 1987 r. pod adresem radzieckiego przywódcy: „Mr. Gorbachev, open this gate! Mr. Gorbachev, tear down this wall!”. Znamionowało ono wówczas wolę przezwyciężenia podziału Niemiec i tym samym – podziału Europy.

Dzisiaj mamy już zupełnie inną rzeczywistość geopolityczną, a i stosunki amerykańsko-niemieckie przeszły znaczącą ewolucję. Jednym z elementów tych zmian było nowe postrzeganie przez polityków amerykańskich miejsca i roli Niemiec na arenie międzynarodowej. W okresie zimnej wojny Waszyngton widział w Niemczech przede wszystkim ważny składnik Paktu Północnoatlantyckiego, działający ze względu na ich lojalność jako rodzaj przeciwwagi dla Francji, zwykle kwestionującej politykę i rolę Stanów Zjednoczonych w Europie.

Nr 130 / 2013
21'06'13

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Równocześnie jednak pozycja RFN zarówno w relacjach z USA, jak i w Sojuszu była osłabiona, choćby z powodu historycznych i konstytucyjnych uwarunkowań tego państwa oraz pewnej ograniczonej jego suwerenności.

Natomiast dla okresu pozimnowojennego symboliczne znaczenie miała wypowiedź George'a H. W. Busha seniora z maja 1989 r., gdy to amerykański prezydent zaproponował kanclerzowi Helmutowi Kohlowi „partnerstwo w przywództwie” (dokładniej – *partners in leadership*). Amerykanom chodziło o to, aby Niemcy zdecydowały się odgrywać aktywniejszą rolę na arenie międzynarodowej, odpowiadającą ich nowej pozycji i randze. Te oczekiwania, które wzrosły po zjednoczeniu Niemiec, nie zostały jednak spełnione. Ówczesni przywódcy Niemiec nie byli gotowi na przyjęcie proponowanej im nowej roli. Wprawdzie mogli czuć się pozytywne wyróżnieni, to jednak należało zrozumieć, że potrzebują czasu, doświadczenia i warunków, aby uznać i zaakceptować rolę gracza globalnego i tym samym zrezygnować z tzw. kultury powściągliwości. Stąd np. odmowa udziału żołnierzy *Bundeswehry* w wojnie o Kuwejt i ograniczenie się tylko do tzw. dyplomacji czekowej. Amerykanie wprawdzie zaakceptowali postawę Bonn, ale osłabła ich wiara w gotowość Niemiec do działania.

Mimo to politycy amerykańscy konsekwentnie i przy różnych okazjach powracali do idei uczynienia z Niemiec ważnego partnera na arenie międzynarodowej, gotowego podejmować nowe zobowiązania. Gdy w lipcu 1994 r. Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe wydał werdykt o zgodności z Ustawą Zasadniczą udziału żołnierzy niemieckich w akcjach zbrojnych *out of area*, prezydent Bill Clinton uznał to za okazję, aby zaapelować o większe zaangażowanie Niemiec w sprawach światowych. Mówił też wiele o nowych „specjalnych stosunkach” między RFN a USA, co nawet stawiało pod znakiem zapytania tradycyjne *special relations* z Wielką Brytanią. Temu dążeniu, aby Niemcy odgrywały bardziej wyrazistą rolę w świecie, nie towarzyszył jeszcze niepokój o to, czy w tej nowej sytuacji pozostaną one lojalnym i w pełni oddanym sojusznikiem Amerykanów. Zdawała się to gwarantować rządząca koalicja chadecko-liberalna.

Zresztą także kolejna koalicja SPD-Zieloni, stanowiąca zupełnie nową jakość polityczną w Niemczech, nie tylko poparła, ale zdecydowała o udziale żołnierzy *Bundeswehry* w akcji zbrojnej NATO przeciwko Jugosławii w 1999 r. To bezprecedensowe w powojennej historii Niemiec wydarzenie stanowiło nie tylko wyraz solidarności z sojusznikami, w tym ze Stanami Zjednoczonymi, ale przede wszystkim



dowód, że Niemcy czują pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo oraz stabilizację w Europie i chcą uczestniczyć w kreowaniu nowego ładu międzynarodowego. Spełniają więc oczekiwania swego amerykańskiego sojusznika. Równocześnie jednak rosła ranga oraz pozycja Niemiec w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi i stosunki te traciły charakter asymetryczności. Efektem tego było coraz wyraźniejsze wchodzenie strony niemieckiej w strategiczny spór z Ameryką. Już za prezydentury Clintona doszło do starcia stanowisk Berlina i Waszyngtonu w sprawie zasięgu działania NATO – strona niemiecka sprzeciwiała się koncepcji amerykańskiej uczynienia z Sojuszu organizacji interweniującej w zależności od potrzeb i bez ograniczeń terytorialnych. Przedmiotem kolejnego sporu stał się amerykański projekt budowy systemu obrony antyrakietowej, ostro krytykowany w Berlinie, a forsowany już przez administrację Clintona.

Zasadniczy spór o daleko idących konsekwencjach rozgorzał jednak w okresie urzędowania George'a W. Busha juniora. Powodem była doktryna Busha, zakładająca możliwość prowadzenia wojny prewencyjnej, oraz wyznaczenie kolejnego celu w wojnie z terroryzmem – Iraku. Berlin nie tylko nie zamierzał uczestniczyć w planowanej przez Amerykanów interwencji zbrojnej przeciwko Saddamowi Husajnowi, ale ostro i zdecydowanie przeciwko niej protestował. Co więcej, znalazł się wśród architektów tzw. frontu odmowy o wyraźnie antyamerykańskim obliczu, a następnie w lutym 2003 r. przyczynił się do największego w dziejach NATO kryzysu decyzyjnego.

Paradoksalnie, Niemcy przyjmując wobec wojny w Iraku zdecydowanie antyamerykańską postawę, znalazły się w roli, o której swego czasu mówił prezydent Bush senior i do której nawiązywał prezydent Clinton – ważnego gracza na arenie międzynarodowej, kreatora wydarzeń. Bowiem ta postawa oznaczała, że w myśleniu Niemiec o ich roli w świecie dokonana się zasadnicza zmiana. Pod rządami przywódców z pokolenia wyrosłego w warunkach powojennej demokracji nastąpiło zdyskontowanie faktu, że Niemcy są już krajem w pełni suwerennym i „normalnym”, a do tego największym oraz najsilniejszym w Europie. Czyli w sytuacjach konfliktowych RFN może i musi współdziałać z innymi mocarstwami, nie powinna też unikać odpowiedzialności. I tak zachował się Berlin tuż po ataku na Amerykę w 2001 r., gdy to kanclerz Gerhard Schröder zadeklarował *uneingeschränkte Solidarität* z amerykańskim sojusznikiem, a następnie – ryzykując nawet upadek swego rządu – zgłosił gotowość udziału w akcji militarnej przeciwko Al-Kaidzie i talibom w Afganistanie. Ale równocześnie rosnące poczucie siły i rangi rodziło w Berlinie wolę zachowań niezależnych, a nawet konfrontacyjnych. Dotyczyło to też prawa do przyjmowania asertywnej postawy wobec Ameryki i krytycznej oceny jej działań,



zwłaszcza jeśli nie odpowiadało to priorytetom polityki niemieckiej. Bush senior – oferując Niemcom *partners in leadership* – takiego zachowania z pewnością się nie spodziewał.

Jednak była to sytuacja, z którą Amerykanie musieli się zmierzyć. Tym bardziej że mieli świadomość rosnącej pozycji Niemiec. Tak więc z amerykańskiej perspektywy problemem zdawało się być teraz nie to, czy Niemcy zechcą odgrywać ważną rolę na arenie europejskiej i w skali globalnej, ale jaką formułę w tej nowej sytuacji przybierze ich partnerstwo z Ameryką. Gdy do władzy w Republice Federalnej powróciła chadecja, najpierw w koalicji z *SPD* w 2005 r., a w 2009 r. – wraz z liberałami, pojawiła się nadzieja na odbudowę lepszych relacji amerykańsko-niemieckich. Rzeczywiście, Angela Merkel – w przeciwieństwie do Schrödera – właśnie w odbudowie dobrego partnerstwa z USA dostrzegła czynnik umocnienia pozycji Niemiec nie tylko w Europie, ale również w ujęciu globalnym.

Ale nawet jej rozumienie współpracy z USA zawierało nowe akcenty, będące z jednej strony skutkiem wydarzeń z niedawnej przeszłości oraz efektem rosnącej rangi Niemiec i z drugiej – osłabionej pozycji Ameryki na arenie międzynarodowej. Bez większej przesady można powiedzieć, że skompromitowana niepowodzeniami w Iraku i Afganistanie administracja Busha uznała, iż jednak potrzebuje wsparcia i poszukując rozpaczliwie silnych sojuszników w Europie, liczyła szczególnie na Niemcy. Tymczasem Merkel, choć przyjęła postawę życzliwą Ameryce i Bushowi, to jednak silnie demonstrowała, że reprezentuje państwo w pełni suwerenne, które nie poddaje się łatwo amerykańskim sugestiom i żądaniom. Wprost przeciwnie, jest gotowe do zachowań autonomicznych wobec Waszyngtonu, gdy tego wymaga interes niemiecki. Z kolei dla Waszyngtonu ceną za wsparcie ze strony Niemiec była szersza niż dotąd akceptacja dla ich interesów i priorytetów, a zwłaszcza uznanie dla przywódczej roli Niemiec w Europie.

I w takiej historycznej perspektywie należy widzieć relacje amerykańsko-niemieckie w okresie prezydentury Baracka Obamy. Trzeba je również oceniać na tle generalnej zmiany linii postępowania Stanów Zjednoczonych wobec Europy. Licząc na większe zaangażowanie partnerów europejskich w rozwiązywaniu kluczowych problemów na arenie światowej i poniekąd od tego uzależniając stopień zainteresowania Europą, administracja Obamy szczególną uwagę zwracała na Niemcy. Postrzegała je jako państwo, które z racji swego potencjału i pozycji na kontynencie powinno stać się inicjatorem i motorem rosnącej aktywności Europy/Unii Europejskiej wobec różnych problemów i wyzwań globalnych. Stąd niektóre kurtuazyjne gesty, jakich ze strony obecnego gospodarza Białego Domu doświadczyła



Merkel, i to pomimo iż właśnie z jej strony Obamę spotkał afront, gdy jeszcze jako kandydat do najwyższego urzędu w państwie przybył w lipcu 2008 r. do Berlina i wobec sprzeciwu Merkel nie mógł wówczas wystąpić przed historyczną Bramą Brandenburską.

Jednak Obama miał świadomość, że RFN dysponuje zbyt poważnymi atrybutami, których nie mógł zignorować. Waga Niemiec jako uczestnika wojskowej misji NATO w Afganistanie rosła wraz z pogarszaniem się sytuacji w kraju pod Hindukuszem i nasilającym się oczekiwaniem Waszyngtonu, że jego europejscy sojusznicy zwiększą tam swoje kontyngenty. Dlatego kanclerz Merkel dostąpiła szczególnego zaszczytu, występując w listopadzie 2009 r. przed połączonymi izbami Kongresu Stanów Zjednoczonych (zresztą jako dopiero drugi w historii kanclerz Niemiec), a w czerwcu 2011 r. uczestnicząc w specjalnie dla niej wydanym *State dinner* w Białym Domu (ostatnim tak uhonorowanym gościem z Niemiec był prezydent Richard von Weizsäcker w 1992 r.), który poprzedziło wręczenie pani kanclerz Prezydenckiego Medalu Wolności.

Trzeba jednak przyznać, że większość z pokładanych w Niemcach nadziei nie zostało spełnionych. Podobnie zresztą, jak rozczarowujące dla administracji Obamy było działanie Europy/Unii Europejskiej. Z perspektywy amerykańskiej UE pozostała tworem mało koherentnym, niezdecydowanym i zbyt asertywnym. Nie stała się strategicznym aktorem na arenie międzynarodowej, przejmującym więcej obowiązków i odpowiedzialności, na co bardzo liczył Biały Dom. Stąd m.in. słynny „zwrot ku Pacyfikowi” jako w pewnym stopniu efekt rozczarowania Europą, a nie tylko wywołany rosnącą potęgą Chin. Zaś Niemcy nie zdołały odegrać roli impulsu, aktywizującego Europę do działania. Co więcej, gdy NATO interweniowało w Libii na wiosnę 2011 r., Berlin nie tylko nie uczestniczył w tej akcji, ale nawet nie poparł jej na forum Rady Bezpieczeństwa. Dlatego pod adresem Niemiec padły w czerwcu 2011 r. szczególnie ostre słowa amerykańskiego sekretarza obrony Roberta Gatesa.

Jakkolwiek więc Amerykanie mogli się czuć rozczarowani postawą Niemiec, to jednak nie zmieniło to zasadniczo roli i znaczenia, jakie w Waszyngtonie przypisywano Republice Federalnej Niemiec. Ponieważ trudno było znaleźć ów „jeden telefon do Europy”, o którym swego czasu mówił Henry Kissinger, czyli Unia Europejska pozostała dla Ameryki nadal tworem dość mgławicowym, pozbawionym jasno określonego czynnika decyzyjnego, trzeba było dogadywać się z poszczególnymi stolicami europejskimi. I dlatego takim ważnym partnerem dla Waszyngtonu, obok Londynu i Paryża, był nadal Berlin. Pozostał on w ocenie



administracji Obamy nie tylko istotnym komponentem układu transatlantyckiego, ale przede wszystkim szczególnym partnerem w wymiarze gospodarczym.

Waga Niemiec bowiem rosła wraz z tym, jak kwestie gospodarcze coraz wyraźniej wpływały na dynamikę wydarzeń w Europie, Stanach Zjednoczonych i świecie. Amerykanie postrzegają Niemcy jako lidera na europejskiej arenie gospodarczej, którego wpływ na przezwycięzenie kryzysu jest bezdyskusyjny. I chociaż amerykańska droga pokonania kryzysu (pobudzanie gospodarki poprzez dopływ środków) jest zasadniczo inna niż niemiecka/europejska (oszczędności budżetowe), to jednak administracja Obamy główne nadzieje wiąże z niemieckimi reformami. Od determinacji i skuteczności kanclerz Merkel zależeć będzie – zdaniem Waszyngtonu – czy Europa upora się z załamaniem gospodarczym, czy nie. Niektórzy amerykańscy analitycy piszą wręcz, że Niemcom dzisiaj, w drugiej dekadzie XXI w., przypadła w Europie taka rola w wymiarze gospodarczym, jaką w ubiegłym stuleciu odgrywały Stany Zjednoczone.

I to stanowi również kontekst ostatniej wizyty prezydenta Obamy w Berlinie. Historycznej głównie z jednego powodu – przypada w 50. rocznicę mowy Kennedy'ego. Samo wystąpienie Obamy 19 czerwca 2013 r. przed Bramą Brandenburską trudno nazwać historycznym. Jego propozycja, skierowana do władz Rosji o redukcję arsenałów atomowych, w tym głowic nuklearnych o 1/3, ma głównie spektakularny charakter. Podobnie jak to było z apelem o denuklearyzację świata, z którym Obama zwrócił się w kwietniu 2009 r. podczas pobytu w Pradze i który przyniósł mu pokojową Nagrodę Nobla. Prezydent Obama jednak zasadniczego postępu w tym kierunku nie dokonał i tak naprawdę niewiele już pamięta o jego praskiej mowie. Można założyć, że także tym razem skończy się na ofercie, zresztą dalekiej od realizmu politycznego, a jedynie służącej odbudowie wizerunku Obamy jako przywódcy z wizją i wolą zmian. Zwłaszcza że reakcja strony rosyjskiej na propozycję Obamy daleka była od entuzjazmu.

Jednak pobyt amerykańskiego prezydenta w stolicy Niemiec miał swą szczególną wymowę. Był on swego rodzaju uznaniem i potwierdzeniem roli Niemiec jako lidera na europejskiej scenie politycznej i gospodarczej. I jakkolwiek, powtórzmy to raz jeszcze, zainteresowanie administracji Obamy dla Europy generalnie spadło i Stary Świat nie ma już znaczenia priorytetowego – uwaga Ameryki koncentruje się na Dalekim Wschodzie i słowa, które padły w Berlinie, że relacje z Europą są i pozostaną dla USA „kamieniem węgielnym naszego bezpieczeństwa i naszej wolności”, należy traktować przede wszystkim jako kurtuazyjną retorykę – to jednak Niemcy jako realny lider Europy zajmują w rachubach amerykańskich znaczące miejsce. Co więcej,



Amerykanie są szczególnie zainteresowani, aby Niemcy sprostały roli lidera Europy, przynajmniej w odniesieniu do kwestii gospodarczych, a zwłaszcza w walce z kryzysem. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że od tego w dużej mierze zależy będzie przyszłość relacji transatlantyckich, to czy odzyskają one sens, znaczenie i skuteczność. Zatem Amerykanie przypisali Niemcom na arenie międzynarodowej dużą rolę do odegrania. Czy Niemcy jej sprostają?

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

